Nr. 14. Lwów dnia 4. Maja 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr. we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr. Numer pojedynczy 20 ct. Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*" wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Maja b. r. rozpoczął się **nowy kwartał** naszego pisma, trwający do ostatniego Lipca b. r. Upraszamy o **rychłe** ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

Świt wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie $1^1/_2$ arkusza druku.

Cena kwartalna wynosi	w Galicyi 2 złr. w. a.;	w Niemczech 1 tal.	8 sgr.;	we Francyi 6 fr.
„ półroczna	„ 4 „ „	„ 2 „	15 „	„ 11 „
„ roczna	„ 8 „ „	„ 5 „	— „	„ 21 „

Prenumeratę należy przesyłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcyi *Świtu:* Ulica Wałowa Nr. 19.

W bieżącym kwartale drukować będziemy obszerną powieść *Michała Bałuckiego:* **„Między niebem a ziemią"**;

najnowszą komedyę *Władysława hr. Koziebrodzkiego* **„W jesieni"** i sławny dramat *Michała Beera*: **„Struensee,"** w przekładzie wierszem *Władysława Bełzy;*

poematy *Herdera*: **„Cyd"** i *Ossyana*: **„Karton"** w przekładzie *Władysława hr. Tarnowskiego;* jakoteż poezye *Michała Bałuckiego, Ernesta Buławy, Teofila Lenartowicza, Adama Pajgerta, Władysława Ordona* i innych;

szereg rozpraw naukowo-literackich, jako to: dr. *Adama Belcikowskiego*: **„O poezyi polskiej XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu,"** dr. *Wł. Deisenberga*: **„O etnografii,"** *Wacława Gasztowta*: **„Rej i Montaigne,"** dr. *Gustawa Roszkowskiego*: **„O przywilejach i ceremoniach dyplomatycznych,"** *Henryka Schmitta*: **„Duch i przyroda w dziejach,"** *Alfreda Szczepańskiego*: **„Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań"** i inne.

Lwów dnia 17. Kwietnia 1872. **Od redakcyi.**

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Przyrządziwszy więc pospiesznie materyały potrzebne do tego rodzaju przedsięwzięcia, weszliśmy po cichu na ciemne schody wiodące do pokoiku podróżnych. Słychać w nim było głośną rozmowę, której winni byliśmy możność łatwiejszego zatajenia chodu naszego po galeryi. Głęboka ciemność panująca w tem miejscu, nie dozwalała nam dostrzedz Lopeza'a, lecz kiedy dyalog podróżnych ustawał, dochodził uszu naszych stłumiony oddech Lopez'a pode drzwiami, świadczący o niecierpliwem oczekiwaniu jego chwili uspienia ofiar, oraz o niespokoj-

ności, jakiej doświadczał, żeby cośkolwiek nie przeszkodziło chwalebnemu dziełu, któremu swą duszę zaprzedał. Ten zamęt jego wewnętrzny był zapewne powodem, że nim się opamiętał był już pozbawiony ruchu i głosu, wywleczony z galeryi i rzucony do owej jamy, o której mówiłem.

Najtrudniejsze było dokonanem. Zostało tylko dopełnić dzieła. Konie księcia i jego przybocznych stały na podwórzu uwiązane do słupa. Poleciłem Gil'owi Galego, żeby z nimi czekał u wchodu. a sam pobiegłem całym pędem po księcia i jego towarzyszy.

Możecie sobie wyobrazić ich zdziwienie, gdym wpadłszy jak z procy do ich pokoiku, zawołał:

— Byliście poznani i zdradzeni! Ta noc miała być waszą nocą ostatnią. Uciekajcie więc! Konie gotowe!

Zerwał się książę z ławy, na której przyległ w pełnem ubraniu. Koledzy jego to samo uczynili porywając szpady w kącie postawione. Poczem książe poszedł ku mnie, przybliżył lampę do mojej twarzy i rzekł:

— Ktoś jest szlachetny młodzieńcze? Niech się tobie lepiej przypatrzę, żebym twych rysów nie zapomniał.

— Kto jestem? Mniejsza! — odpowiedziałem — Pamięci nie wymagam, wdzięczności nie szukam. Przyszedłem ostrzedz cię, bo wiedząc o zdradzie gospodarza *venty*, zostałbym spólnikiem onej, gdybym jej nie wykrył przed tobą. Tylko prędzej! Na miłość Boga prędzej! Chciałbym żebyście już byli ztąd daleko!

— Zkądże to niebezpieczeństwo, o którem powiadasz? — zapytał jeden z towarzyszy księcia — Gdzież są nasi nieprzyjaciele? Kto oni? Wielu ich?...

— Gdzie są? — tu! — zawołałem — Kto oni? — przybo'zni dworzanie księcia Asturyi! Wielu ich? — czterech, piąty masztalerz — lecz kto wie, czyli ich więcej nie czeka na zasadzce? lub czy podkupione przez nich szajki *band lleròw* nie czatują gdzieś na was?

Te słowa moje nie pozostały bez wrażenia na księcia.

— *Per Dios!* — rzekł do swoich — Wszystko to być może. Jest to, jak widzę, rzecz ukartowana przez samego księcia Asturyi, żeby mię pojmać, albo zabić. Idźmy więc za radą tego młodzieńca i oddalmy się ztąd.

Mówiąc to, wziął moją rękę, ścisnął mocno i wyszedł. Za nim wszyscy. Noc była ciemna, jakem już powiedział. Na dziedzińcu *venty* książe zatrzymał kroku, by się skupić w myśli i wysnuć z niej jakieś postanowienie. Poczem rzekł do swoich:

— Cicho wszędzie i spokojnie. Nawet brzęku muchy nie słychać, *no se oye una mosca!* To dobra wróżba *sennores*. Nie traćmy zatem otuchy i dalej w drogę!

Kiedy Gil Galego podawał konia księciu, ten rzucił mu sporą sakiewkę złota, za co otrzymał od niego ma się rozumieć, najżyczliwsze *Vaya usted con Dios!* Wkrótce zatętniały kopyta i wyuzdanym biegiem andaluzkich latawców unieśli się trzej nasi podróżni w dal tajemniczą gęstych mroków nocy.

X.

Silvo dalej opowiada.

— Pojechali na Andujar — przemówił po chwili Gil Galego, wsłuchawszy się w daleki gwar końskich polotów. — Tam stoi pułk jazdy, którego szefem Książe Pokoju. Zakpi on tam z nieprzyjaciół swoich. Chodźmy tam i my *sennor caballero*. Niedaleko ztąd jest wąwóz głęboki a w nim jaskinia ustronna, gdziem nieraz spoczywał po trudzie, lub szukał schronienia od biedy, bo mało się co z człowiekiem zdarza. Zaprowadzę tam ciebie, żebyś odpoczął bezpiecznie i nabrał sił nowych do dalszej pielgrzymki. Tu wisi bieda nad nami. Chodźmy!

— Nie pierwej — odpowiedziałem — aż wyciągniemy z jamy Lopez'a. Zostawić go tam, byłoby zbrodnią bez potrzeby i celu. Księcia tu niema. Już się odsadził daleko. Możemy zatem uwolnić Lopez'a.

— *No sennor!* — przerwał stary *matador*. — Nie możemy go jeszcze uwolnić, bo zepsulibyśmy swoje dzieło. Wyciągniemy go tylko z jamy i zostawimy związanego u schodów *venty*. Znajdą go jutro i uwolnią.

— Niech i tak będzie — rzekłem.

Nie uszło kilka minut, Lopez wydobyty z jamy leżał u progu *venty* a my szliśmy gościńcem ku Andujar.

Po półgodzinnej pielgrzymce, którę poczciwy Gil Galego mnóstwem gadek i anegdotek miejscowych urozmaicał, wkroczyliśmy na wązkę drożynę kręto zginającą się w prawo. Jakby w przychylnym dla nas zamiarze, księżyc wyglądnął z po za chmury i zalał światłem przestrzenie. Ścieżka, po której stąpaliśmy była stromą, krętymi biegi wyłamaną, to sięgała wyżyn skalistych, to zapadała w głębokie doły, nurzając się w gęstwinie aleosów, nopalów, krzewów rozmaitych afrykańskiej strefy. Gil Galego szedł naprzód z pewnością bywalca i powtarzał ciągle dla dodania mi otuchy:

— Już blisko *sennor*, za chwilkę staniemy!

Stanęliśmy nakoniec rzeczywiście u mety. Ciasny otwór w skale wprowadził nas do wnętrza jaskini. Niebieskie światło nie wnikało do niej. Ciężką więc i gniotącą zmysły była ciemność tego miejsca. Kroku postąpić nie mogłem, bo nie śmiałem, z obawy czegoś, o czem zdać sobie sprawy nie mogłem.

Gil Galego wykrzesał iskrę, rozniecił siarniczka, zapalił stoczek z podróżnej torby wydobyty. Poczem przyniósł z głębi jaskini kilka wiązek chrustu, ułożył je starannie, rozdmuchał, rozpłomienił i nagle buchnęło z trzaskem i świstem jaskrawe ognisko, barwiąc złotem i czerwienią olbrzymie ściany, arkady, załomy pieczary, przelewając się ruchomą falą ułudy w tysiączne zjawiska, odbicia, połyski, kształty, nie dające się uchwycić zmysłem, ocenić pojęciem i wyrazić słowy.

Kiedym się mojej poetycznej kontemplacyi oddawał, Gil Galego rozesłał tymczasem pod jednym z filarów samorodnych tego zaklętego gmachu grubą warstwę suchej trawy i wezwał mię do spoczynku.

Pora już była rzeczywiście odpocząć po tylu trudach i przygodach dnia tego. Duch i zmysły zarówno się mroczyły letargiem. Spałem już całem jestestwem mojem, kiedy mój poczciwy koleżka pasterską pościel z ziół i traw balsamicznych przedemną rozścielał. Wkrótce też utonąłem rozkosznie w miękkim ich puchu i błogiemu ulegając omdleniu głęboko zasnąłem.

I zdało mi się, że zatajone podwoje jaskini stanęły nagle otworem ku stronie zaczarowanego świata, blasku, harmonii i miłości. Zaledwiem przekroczył próg onego, chóry jakieś niewidome powitały mię pieniem niewypowiedzianego uroku. Głos każdy tych chórów, wibrujących gdzieś wysoko nademną był głosem Carmen, kiedy uderzając po strónach gitary śpiewała rzewne strofy Zorilli.

No aspiro a mas laurel, ni a mas hazana
Que a una sourisa, de mi dulce Espana... *)

I wszędzie dokoła mnie dzwonił hymn miłości tonem łona Carmen. Wszystko nazwisko jej drogie powtarzało — drzewa, zioła, strumienie, powiewy, echa gór tęczystych i szemrzących lasów. Carmen! Carmen! wołały niebo i ziemia, powietrze i wody. Carmen! Carmen! wołała natura cała, jakby wtórząc wołaniu

*) Nie pragnę innego wawrzynu ani innej sławy, jeno uśmiechu mojej słodkiej Hiszpanii. *(Cantos del Trovador.)*

duszy mojej, miłosnymi ognie owianej, w pragnieniach miłości tonącej, tęsknej, niespokojnej, rozpaczającej! I nagle wysypały się zewsząd grona istot powiewnych i w każdej z nich poznałem Carmen — każda smutnie spojrzała na mnie, słowem wyrzutu poruszyła usta, ręką na serce swoje ukazała — i wzlatując jedna po drugiej coraz wyżej i wyżej roztapiała się kolejno w eterze i nikła.

I nastąpiła odmiana w scenach widzenia mojego.

Świat miłości i harmonii zamierzchł i oniemiał. Runęły stropy i zręby czarodziejskiej budowy. Rozpadły się w atomy jej feeryczne zjawiska! Kędym okiem potoczył nie to już było, o! nie to, co pierwej! Niebo szare, metaliczne, mgliste chociaż zaognione paliło skwarem, wionęło znojem. Ziemia z barw nadziei ogołocona leżała rozpostarta w omdleniu, żółta i spalona—a na niej sterczały tu i ówdzie zamczyska i twierdze. Tłumy broniły je — tłumy zdobywały. Buchały ognie odporu — błyskały ognie napadu. Dymy wiły się kłębem, rozścielały całunem, toczyły chmurą. Gwałty, wrzawy, jęki, przekleństwa i okrzyki wściekłego tryumfu wichrzyły się w powietrzu gdyby straszliwy orszak porywów i namiętności człowieczeństwa, niosący rozgrom, zniszczenie i żałobę. To wojna! wojna! Ludy uderzały w ludy. Bliźni mordował bliźniego. Kaim zabijał brata. Człek stawał się tygrysem, potworem! Świat się rozlał krwi morzem, rozsypał w zwaliska, zgliszcza, popioły. Jęknął rozpaczą, zazgrzytał głodem, westchnął konaniem. A z rozgromu form jego, z kości ludów jego, ze szczątków ich wielkości i sławy urosła mogiła olbrzymia a na niej usiadła śmierć!...

Znowu zaszła odmiana w scenach widzenia mojego.

Byłem w obszernej jaskini. Pośrodku ognisko płonęło. Dokoła stali rycerze w zbrojach świecących ze złocistymi hełmy. Długie włócznie trzymali w rękach. Długie miecze mieli u biodra. Gdym się im baczniej przypatrzył dostrzegłem ślady cięć głębokich na zbrojach, znaki gwałtownych ciosów na hełmach. Z pod stalowych naramienników sączyła się krew, a krople jej opadając na ziemię, przemieniały się w dyamenty, albowiem była to krew przelana za ojczyznę... W gronie tych rycerzy był jeden wspanialszy postawą, dzielniejszy obliczem, przed którym czoła skłaniały się hołdownie. Podniósł wiszącą trąbkę u boku, przyłożył do ust i uderzył głośną fanfarę. Rycerze rozstąpili się w milczeniu i w tejże chwili zatętniała ziemia pod ciężkiem stąpaniem wielkiej ilości ludzi. Tłumy zbrojne zaczęły napełniać jaskinię. Poczem rozwinęły się proporce i chorągwie z godłami Asturyi i Kastylli. Tryumfalnie uderzyły trąby. Zadzwoniły zbroje i miecze i głośny okrzyk *Viva el rey Don Pelayo!* potrząsł jaskinią aż do najgłębszych jej podwalin.

Przebudziłem się z bijącem sercem. Kilka chwil przeszło, nim potrafiłem rozróżnić, co było utworem snu a co rzeczywistością? gdzie ustawał świat letargicznych marzeń a gdzie się zaczynał świat czuwania? Widziałem na jawie te same arkady i załomy skaliste, ten sam obszar wnętrza pieczary, jakie się mi we śnie przedstawiły. Brakło tylko rycerzy, tłumów zbrojnych, proporców, okrzyków zapału — lecz to co być przestało czyliż nie mogło być przed chwilą? Milczenie obecne czyliż było dowodem, że tu nie było gwarno i ludno?

Głos Gil'a Galego położył koniec niepewności mojej. Stał nademną i mówił:

— *Caramba!* Dobrze się wam *sennor* sen udał! Zrobiłem już milę drogi i przynoszę materyał obfitego śniadania.

— Jakto? — zawołałem — Jużeś wychodził?

— Nieinaczej! i dowodem tego ser, masło, chleb i spora *bota* *) wybornego *Valdepennas*, które są na twoje usługi.

— Zkądżeś dostał tych specyałów?

— Zkąd? — odpowiedział stary *matador* z wewnętrznym śmiechem. — Alboż to Gil Galego żyje od wczora? Wie on, gdzie co jest i jak co dostać; a dla takiego jak ty zucha *sennor caballero* dostałby i samego dyabła z pod ziemi.

— Uwalniam ciebie od takiego dowodu przychylności. Dajmy dyabłu pokoj. Powiedz mi raczej *sennor* Galego, czy znasz dobrze to miejsce? Czy nie wiesz o niem podania jakiego?

— Nikt lepiej odemnie nie zna tego miejsca — *ninguno mas!* Mówiłem już tobie *caballero*, że ta jaskinia to zwykła ucieczka moja przed biedą, a że bied nie mało przebyłem w życiu, musiałem ją nie rzadko odwiedzać. Jest to miejsce sławne, całej Hiszpanii znane. I słyszałem, że ludzie uczeni całe stosy szpargałów o niem zapisali.

— Opowiedz proszę, co wiesz. Nazwij przynajmniej to miejsce, może coś przypomnę...

— To jaskinia *Cavadonga!*

— *Cavadonga!* — zawołałem — Więc to ona, ta słynna pieczara, gdzie ów mężny Got, zwycięzca Maurów Tarifa, Don Pelayo, został obwołany królem Asturyi!

— Rzekłeś *sennor!* Tak, on był tu! Wszedł do niej bohaterem, a wyszedł z niej królem.

— Nie przestając być bohaterem! — dodałem z natchnieniem. — Wiesz li ty starcze, co to za ogrom tego imienia? Jaka wielkość wspomnienia tego? On był tu — on! mężny szermiesz ojczyzny, jej chluba i sława! I ja widziałem go...

— *Caramba!* — rzekł Galego, śmiejąc się serdecznie, snać dawno żyjesz już na świecie...

— Widziałem go, powtarzam tobie, tu, w tej samej jaskini i byłem świadkiem wielkiej sceny powołania go na majestat królewski przy okrzykach: *Viva el rey Don Pelayo!* **) To, co się tu działo temu 1000 lat, powtórzyło się tej nocy.

Na te słowa zadumał się starzec i długo zostawał w milczeniu. Poczem westchnął i rzekł:

— Opowiedz mi *sennor* swój sen, nie opuszczając żadnego szczegółu.

Wysłuchawszy z uwagą mojej narracyi Gil Galego pomyślał chwilę, poczem przemówił w ten sposób:

— Miałem ja dziada po ojcu. Nazywał się Antonio Galego. Wszyscy go znali w okolicy, bo w całym kraju nie było takiego, coby tak umiał tłomaczyć sny, jak on i tak odgadywał przyszłość. Smarkaczem byłem jeszcze, kiedy zmarł ze starości. Lecz ojciec mój przyjął z ust jego tajemnicę wielkiej nauki przyszłości i z kolei przekazał ją mnie umierając. Otóż zdarzało mi się nieraz zgadnąć, co się ludziom przytrafić miało i ostrzedz ich przed biedą. Sen twój, *sennor*, ma groźne znaczenie! Wróży on krwawą wojnę, wielkie nieszczęścia kraju, panowanie miecza i ognia, głód, mordy i pożary! Don Pelayo, ranni rycerze, tłumy zbrojne, proporce i trąby znaczą, że Hiszpania będzie walczyć mężnie, wiele krwi przeleje, lecz że się nie da ujarzmić i wyjdzie z boju chwalebnie.

— Daj to Boże! — zawołałem.

— Daj Boże! — powtórzył starzec ze wzruszeniem. — A chcesz-li wiedzieć *caballero* kto tę wojnę

---

*) Skórzana flasza.

**) Pélage francuskich dziejopisów, bohater z krwi królewskiej gotskiej.

*

rozpocznie? kto biedną Hiszpanię krwią zbroczy i ogniem wypali?...

— Któż taki?...

— Francuzi! Nie darmo wałęsają się oni po kraju! Wszyscy myślą u nas, że przyszli wspierać Ferdynanda, księcia Asturyi, przeciw Godoyowi i partyi dworu i ztąd ta ogólna dla nich sympatya. Ale są tacy, co w tem widzą nie to co wszyscy i ja do rzędu ich należę. Francuzom nie chodzi ani o księcia Asturyi ani o Godoya. Mają oni swój własny interes na celu. Niby to maszerują do Portugalii, a wszędzie kędy przechodzą zostawują swoje garnizony i coraz ich więcej od Bayonny przybywa. Gdyby potok jaki, płyną a płyną wojska bez końca! Pampeluna, Burgos, Valladolid, Salamanka, Ciudad-Rodrigo w ich ręku. Jeżeli się tylko zaczną spuszczać w dół ku Madrytowi, będzie to znakiem, że godzą na niepodległość Hiszpanii — wtedy...

— Co wtedy? — zapytałem skwapliwie tknięty tem samem uczuciem, jakie się zdawało w obliczu jego wyrażać.

— Wtedy *sennor caballero* — odpowiedział z natchnieniem starzec — biada im! biada! Duch Don'a Pelaya przeleci nad Hiszpanią i ludy jej poruszy, a wiadomo, że gdzie cały naród tam i Bóg!

Tak rozmawiając szliśmy ku Andujar, nie Korduańskim gościńcem, którego Gil Galego unikać radził, lecz ścieżkami i manowcami, których nigdy, mam pewność, stopa uczciwego wędrowca nie deptała. Spotykaliśmy często *arricrosa*, co się dokądś pokryjomu przekradał nucąc staroświecką spiewkę: *En burgos esta el buen rey* i dźwigając swoje nieodstępne *trabuco* ostro kulą nabite. To znowu kontrabandysta, zuchwały gwałciciel krajowego prawa, przemykał tamtędy pospiesznie, naglące pochopy ładownych mułów swoich. Uważałem, że wszyscy ci ludzie, więcej niż podejrzanej uczciwości, byli to dobrzy znajomi mego towarzysza pielgrzymki. Z każdym z nich wchodził w rozmowę o tem, co słychać na świecie, albo przynajmniej mijając słów kilka uprzejmych zamienił. Nie dziwiło mię to bynajmniej. Lud hiszpański ma swój odrębny punkt widzenia, z którego wnioskuje o wartości moralnej człowieka. Im kto zuchwalej pogwałcił prawo i mężniej oparł się władzy, tem większą popularność pozyskał. Dość było wiedzieć o tem, żeby sobie wytłómaczyć stosunki Galega z arrierosami i kontrabandystami, ludźmi żyjącymi w jawnej opozycyi z kodeksem i toczącymi nieustanną walkę z władzą przestrzegającą wewnętrznego porządku. Według opinii ludowej byli to nie przestępcy godni kary, lecz dzielne zuchy, którym się wzgląd i spółczucie słusznie należały. Bądź co bądź częste mieliśmy z nimi spotkania i gdyby nie przytomność opiekuńcza Galega Bóg wie, czyby mi nie przyszło spróbować lekkości edeńskiego stroju z oczywistym szwankiem skromności mojej.

(C. d. n.)

Gra fantazyi.

O krawędź okna opartą stała,
Myślą goniła błękity,
W jej twarzy cicha smętność jaśniała
I poetyczne zachwyty.

Płynęły od niej rozkoszne tchnienia
Jak fale muzyki spiewne,
Na skroń mi tęskne kładąc marzenia
I sny fantazyi powiewne.

Sukienkę na się wdziewa przejrzystą,
W mgły ją malując tęczowe
I muślinową, bieliznę czystą
W jutrzenki zmienia różowe.

Pomiędzy wonne warkoczów zwoje
Girlandy wplata gwiaździste
I cherubinów ubiera stroje
W skrzydła migocące śrebrzyste.

Wśród brylantowych jasnych podwoi
Tchnieniem piękności owiana
Na słońc pościeli wyniosła stoi,
Że zgiąłem przed nią kolana.

I dłonią oczy przetarłem śniące
I z świętom je niosę drzeniem,
Lecz to zjawisko blaski siejące
Było — fantazyi złudzeniem.

Bronisław Zawadzki.

MODLITWA.

(*Z Lermontowa.*)

Jeżeli kiedy w sercu mem
Tęsknoty zadrży jęk,
Modlitwy jednej, cudnej wiem
Czarowny, cichy dźwięk.

Jest jakiś dziwny, święty czar
W harmonii dźwięków tych,
Oddycha świętej wiary żar,
Cudowny urok w nich.

Jak z duszy kamień, stoczy się
Zwątpienie w cichym śnie —
I wierzyć chcę i płakać chcę
I błogo, błogo mnie!

Stanisław Grudziński.

MOTYL.

(Z GOETEGO.)

PANNIE K. P.
to poświęcam.

Woniejącym wiosny rankiem
Pastereczka z wiatrem goni,
Konwaliowym strojna wiankiem
I piosenką hożą dzwoni
La la la! — la la la!

Jaś uśmiecha się doń mile,
Dwie owieczki w lot przynosi,
Lecz filutka spojrzy chwilę
I wnet buzię w dal unosi
La la la! — la la la!

Inny wstążek niesie zwoje,
Trzeci ognie serca nieci,
Lecz owieczki, serce, stroje
Porzucając z pieśnią leci
La la la! — la la la!

Bronisław Zawadzki.

Historyozofia J. W. Drapera.

(*History of the intellectual developement of Europe, by John William Draper. M. D. L. L. D. in two volumes, London 1864*)

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

To też nie zadziwi już nikogo, że i Europa zachodnia przeszła przez te same, co Grecya stopnie rozwoju. Wiekiem dziecięcym były czasy rzeczypospolitej Rzymskiej wierzącej Jowiszowi, Augurom i przeznaczeniu zwycięzkiemu miasta. Podboje rzeczypospolitej i powszechne zepsucie obyczajów pobudziły do chłopięcego wieku dociekania, któremu cezaryzm i zamięszanie narodów właściwą, odrębną nadały cechę.

To też monarchia matką monoteizmu, zepsucie rodzicem ascezy ślepej i surowych namiętności chrześcyaństwa, nieorganicznego zlepku najróżnorodniejszych zabobonów. *) Z chrześcyaństwem zaś naszedł Europę wiek ciemnoty i wiary, równie nieużyty jak dawny wiek Sokratesowy. Z samego nawet monoteizmu zostało tylko pojęcie niebieskiego despoty, a reszta się rozmazała w fetyszyzm o Trójcy najwyższej, relikwiach, cudach i innych niedorzecznościach.

W Arabii daleko pomyślniej skończył się wiek dociekania, bo Mahomedanizm religią nierównie wyższą od Chrystyanizmu, prawdziwym monoteizmem i wiarą sprzyjającą mnożeniu się rodzaju ludzkiego, jakoteż rozwojowi doczesnych, materyalnych dostatków. Mahomedanizm nader szybko wytworzył ze siebie wiek męztwa i wiedzy, i sam dobiegając do wspólnego wszystkim cywilizacyom celu oddziałał szczęśliwie i na sameż chrześcyaństwo, raz orężem obszerne ziemie mnichom i ciemnocie wyrywając, a drugi raz kształcąc młódź europejską w słynnych hiszpańskich szkołach. Papizm ujrzał się tedy zagrożonym a to tem bardziej przez to, że i wróg wewnętrzny powstawał we formie herezyi przeciw jego nieprawościom. Ale papizm nie tak skory do ustępstw wydał dwie poczwary: inkwizycyę i Machiavela, aby ogłupiać i ujarzmiać świat, tak że chociaż Turcy i Mongołowie szczęśliwie wschód oswabadzali, nie wiedzieć jak długoby były wisiały ciemności nad Zachodem, gdyby Krzysztof Kolumb nie był odkrył Ameryki. Prawda, że mnichy niszczyli świetne i już zupełnie dojrzałe cywilizacye Meksyku i Peruwii, ale to nie przeszkodziło temu, że Europa pobudzona widokiem tylu nowo odkrytych ziem porzuciła jałową spekulacyę i doszedłszy do łat męzkich zaczęła się za pomocą nauk ścisłych zbliżać ku pożądanemu celowi, do nowożytnego budaizmu. A jeźli chce wiedzieć do jakiego dojdzie stanu, niech spojrzy na Chiny i tam ujrzy stare już społeczeństwo, w którem jedynie Mandaryni się troszczą o dobro publiczne, a w którym ogół się skrzętnie ubiega za praktycznymi tylko celami.

Na tych to chińskich prospektach kończy Draper, a nam teraz, żeśmy go do końca cierpliwie wysłuchali, wolno również wypowiedzieć nasze zapatrywanie.

Przedewszystkiem przyrzekamy walczyć równą bronią. Inaczej honor nie pozwala, a indukcya to broń Drapera. Dźwignijmyż więc i my oręż historycznej indukcyi i przypatrzmy się temu, czy fakta przytaczane przez Drapera istotnie świadczą jego teoryom. Zdaje mi się, że nie znajdziemy w dziejach potwierdzenia zdań słynnego lekarza.

*) Przypominam, że jest to wszystko streszczenie Drapera. (Przyp. aut.)

Najpierw ani Indye ani Egypt nie stały u szczytu cywilizacyi w chwili pierwszego rozwoju Grecyi. Budaizm wyłonił się z Indyi pierwotnych jeszcze, z Indyi epicznych prawie i nie znających innej nauki prócz bardzo mistycznej i niejasnej teologicznej filozofii. Stan taki trwał i potem jeszcze przez lat tysiąc, a nauki ścisłe, a może i jaśniejsza filozofia nie zakwitły w Indyach pierwej jak w VII wieku po Chrystusie i nie z Indyi do Grecyi ale z Grecyi do Indyi przybyły. Co do Egiptu zaś, to był on już ruiną za dni Thalesa, bo ostatni królowie znani Grekom byli cieniami władającymi gruzom państwa i cywilizacyi dawnych Faraonów. Zresztą Egipt nauk ścisłych nie mógł podać Grecyi, bo ich sam nie posiadał, a religia Egiptu nie była panteizmem, jeno istotnym teizmem wiążącym wprawdzie Boga ze światem, ale odróżniającym Boga od świata. Nirwany wreszcie Egipt nie znał. A już nie będę mówił o tem, o ile Draper przekręcił treść budaizmu, bo toby nas za daleko powiodło. Powiem tu tylko, że budaizm powytwarzał społeczeństwa ascetyczne i niezdolne do działania i że choć jest w teoryi ateizmem, stał się w praktyce politeizmem. Wszystko to, co Drapera brzydzi w chrześcyaństwie, a zwłaszcza w katolicyzmie jest właśnie jeszcze silniej rozwiniętem w budaizmie, w owem najpotężniejszem wysileniu umysłu ludzkiego. Nie ma kraju bardziej od Tybetu zakonami przepełnionego, a nie było papieża dorównującego Delaj Lamie budystów, pod względem wygórowanych pretensyi. Delaj Lama to nie człowiek — to Bóg, a zarazem największa niedorzeczność — bo o nim głosi dogmat, że on jest wcieleniem tutecznym Budy, którego już dawno nie ma; bo Buda rozpłynął się w nicości za nagrodę świątobliwego żywota.

Draper gorszy się relikwiami chrześcyaństwa, a nie widzi, czy nie chce widzieć wielkiego zębu mamuta podawanego ku czci mieszkańcom Ceylonu. Kapłani tamtejsi mówią, że to ząb Budy. Portugalczycy kazali ten ząb rozkruszyć, ale cud wnet go wrócił kapłanom. Gdyby to było się stało w Portugalii, byłby nas Draper z tego powodu uraczył osobnym rozdziałem; ale to się stało w kraju wyznającym nie chrześcyańskie bałwochwalstwo, jeno najmądrzejszą religię świata.

Budaizm każe swoim wyznawcom pościć i ciało umartwiać, każe im szukać nicestwa siedząc na ziemi z twarzą do ściany obróconą i z przytrzymanym oddechem. Chciałbym też widzieć Drapera bawiącego się w ten sposób.

Są jeszcze inne rzeczy w Budaizmie, któreby może i wstrętniejszymi od rozmyślania o niczem dla naszego autora były. Tak naprzykład kazał Buda wyprzeć się siebie zupełnie i całe życie swoje poświęcić usłudze nędznych: mówił, że ten szczęśliwy, co się nie troszczy o rzeczy doczesne a że najszcześliwszym ten, co potrafi z pogodnem czołem życie dla dobrej położyć sprawy. Ja mam pomiędzy wieloma innemi bzikami i ten, że właśnie dopiero co przytoczoną część nauk Budy podziwiam i wykonuję, ale nie mogę pojąć jakim sposobem człowiek tak p r a k t y c z n y jak Draper mógł znaleźć upodobanie w podobnych niedorzecznościach uczuciowych.

Ale dość o budaizmie. Czas wrócić do Greków, o których starałem się dowieść, że ani z Indyi ani bezpośrednio z Egiptu nie mogli czerpać pierwiastków swojej cywilizacyi. To też wpływ Semickich narodów stanowczo przeważa w młodej Grecyi. Ztamtąd to mieli przyjść i Teb założyciele i ci co Greków nauczyli pisma, a Panteon grecki na poły tylko szczeronarodowy składa się po wielkiej części z bóstw zapożyczonych ze Syryi. Nawet zródeł sztuki nie gdzieindziej jak w Semickiej szukać trzeba Niniwie i nietylko skarbiec Agamemnona, ale nawet niedawno pod Bononią wykopana starodawna Felzyna świadczą o tem, że mody Asyryjskie od X do VII wieku przed Chrystusem w południowej Europie przeważały.

Trzeba jednak przyznać Draperowi, że działał konsekwentnie omijając starosemicką cywilizacyę, bo jej owocu niepodobna na panteizm przekręcić, bo ona dała początek chrystyanizmowi, a chrystyanizm to *bête noire* Drapera.

To też dla powinowactwa z chrystyanizmem trzeba potępić Platona i Sokratesa nazwać głupcem. A i druga przyczyna do tego popycha: oto to, że ci obydwaj kazali twierdzenia opierać na zdaniach starannie przemyślanych, a to rzecz męcząca i mogąca doprowadzić do wcale innego rezultatu, jak do materyalizmu. Szczególniej Sokrates nie lubiał ludzi, co wiele rozprawiali o tem, czego nie rozumieli i zwykł był ich o głupstwie i arogancyi przekonywać, a Draper pozwolił sobie właśnie raz w życiu śmiać się z filozofii Platona, której nie rozumiał, mówiąc, że Platon twierdził jakoby idea dębu była ukrytą w żołędzi, i że z niej dąb się rozwinął, a że nauka co innego jak Platon twierdzi. Gdyby Draper zechciał uważniej przeczytać Platona, to byłby się z niego między innemi i o tem dowiedział, że trzeba rzeczy nazywać po imieniu i że nie trzeba znaczenia słów przekręcać; a wtedy byłby może zrozumiał, że idee Platona to nie przedmioty podpadające pod fizykalne doświadczenie, jeno że są to pojęcia ogólne, w których i wszelki szczegół się mieści i byłby może doszedł do tego przekonania, że Platon i mistrz jego Sokrates właśnie najpierwsi nauczyli ludzkość myśleć ściśle i naukowo, że oni to oduczali od szumnych a próżnych frazesów i że oni chcieli, aby brano rzeczy dane za podstawę rezonowań. Tylko że prócz „danych“ świata zewnętrznego są „dane“ wewnętrzne, umysłowe, a Draper o tych właśnie ostatnich nic wiedzieć nie chce.

To też daleko wygodniej nazwać niedorzecznością cały wiek Platona, „wiek młodzieńczy“ i według naszego historyozofa „wiek wiary“ chyba dlatego, że wówczas w nic na słowo nie wierzono, wszystko rozbierając bystrą dyalektyką. Wszak to była nędzota, co wydała Partenon i posągi Fidyasza i wolność ateńską i Sofoklesa i Pindara i Demostenesa! Gdzież można wyżwymienionych Pigmeów porównać z majestatem pozytywistów dni naszych!

Tylko że tu jednej rzeczy nie mogę dobrze wyrozumieć. Czy Draper gardzi takimi drobiazgami jak chronologia, czy to ja nie umiem greckiej historyi? Bo mnie się zdaje, że Aristoteles żył przed Epikurem, Zenonem i Pironem, a tu Draper tych ostatnich dolicza do karłów wieku wiary, a Aristotelesa mieści między olbrzymy wieku męztwa. Zdaje się, że to mi się historya powikłała w głowie, bo zdawało mi się, że Aleksander jako człowiek cywilizowany podbijał barbarzyński wschód i że stan Grecyi po Aleksandrze był daleko smutniejszym od poprzedzającego, a mianowicie, że lud ubożał, a ziemia się wyludniała, że niewola się srożyła po miastach, a duch tracił na swej gibkości i oryginalności, i że już tylko w nawpół barbarzyńskim Egipcie nauki znalazły schronienie. A oto dowiaduję się, że Aleksander odkrył na wschodzie źródło wiedzy greckiej, i że odtąd dopiero błogosławiony czas zawitał Helenom uwolnionym z więzów niewoli i ciemnoty. Dowiaduję się, że zaczęły się dla Grecyi czasy podobne do dni dzisiejszych zaatlantyckich Jankesów.

(Dok. n.)

W JESIENI,

komedya w jednym akcie

przez

Władysława hr. Koziebrodzkiego. *)

LEOPOLDOWI hr. STARZEŃSKIEMU
przyjacielowi od lat dziecinnych, krewnemu
i koledze poświęcam.

OSOBY:

PAULINA (l t 36).
SABINA (lat 17).
GWALBERT (lat 45).
ZYGMUNT (lat 46).
ANTONI, służący (lat 50).

(Rzecz dzieje się na wsi w Galicyi.)

Zastrzega się wszelkie prawa w obec sceny.

AKT I.

(Salonik. — Drzwi po bokach i w głębi; okno po lewej stronie sceny, po przeciwnej kominek. — Umeblowanie bogate, ale ustawione w nieładzie i bez gustu, po większej części pod dekoracye przysunięte; fortepian w głębi.— Po ścianach obrazy i fotografie kobiet, w rogach dwie statuy: Wenus i Dyana, na stolikach albumy i drobiazgi, w głębi stół do gry.)

Scena I.

ANTONI (*sam*).

(Chwilę sprząta i ustawia meble, lecz zamyśla się ciągle zakładając ręce.) Hm! ten Walenty! dyabeł go tu widocznie przyprowadził... *(przesuwa krzesło)* po co go pan przyjął?... od tego czasu ani już spojrzy na mnie *(po chwili to samo krzesło przesuwa na dawne miejsce)*. Stary, mówi, żem stary, tu się wszyscy postarzeć musimy... i takiego jeszcze nie ma coby z latami odmłodniał! *(to same krzesło znów przesuwa)* Już nic nie wiem co robić, mówi, że powinienem był wcześniej o żonie pomyśleć... *(znów przestawia krzesło)* Wcześniej, wcześniej!... albo to tak łatwo? albo i mój pan... *(przechodzi i staje przed statuą)* Ot!... żeby nie te... te maszkary *(słychać dzwonek za sceną)* Dobrze, dobrze!... *(sprząta)* Jaka też z niej dziewczyna... takiej drugiej nie ma! *(gwałtowniejsze dzwonienie za sceną)* Zaraz!

*) Przedstawiona po raz pierwszy na scenie krakowskiej d. 28 kwietnia 1872 r. z następującą obsadą ról: Paulina — pani Ecker; Sabina — panna Urbanowicz; Zygmunt — pan Benda; Gwalbert—pan Ecker; Antoni—pan Zamojski.

zaraz!... *(zakłada ręce)* Co też ona upatrzyła sobie w tym Walentym? Co tu robić?!... *(znów słychać dzwonek)* Idę! idę!... *(staje i zamyśla się)* I korale nie pomogły, ani się chciała popatrzeć! ani wziąć do ręki...

ZYGMUNT *(za sceną).*

Antoni!... Antoni!...

ANTONI.

Zaraz!... zaraz... A gdybym jeszcze...

Scena II.

ZYGMUNT, ANTONI.

ZYGMUNT *(we drzwiach).*

Czy słyszałeś, żem już trzy razy dzwonił?

ANTONI.

To też już szedłem...

ZYGMUNT.

A! z wami to sobie nikt rady nie da. Jedynasta... gdzie bulion? przecież wiesz, że o tej godzinie doktor kazał mi pić bulion.

ANTONI.

Idę zaraz... *(wychodzi)*

Scena III.

ZYGMUNT *(sam).*

Ten ból w kolanie dokucza mi ciągle... *(rozciera kolano)* I lekarstwo nic nie pomaga... Co to być może? Jeden doktor powiada że to zawianie, drugi że podagra, trzeci... no, ja myślę, że tego przyczyną jesień! tak... tak, nic, tylko ta fatalna jesień! *(idzie do okna)* A to czas! a to błoto! brrru!... *(ogląda się)* A ten gap Antoni w kominku nie zapalił... *(przypatruje się do koła)* Jest! to nie do zniesienia! tyle razy mówiłem Antoniemu, żeby ta szkatułka stała przed źwierciadłem, nie! on zawsze swoje... *(idzie i staje przed zwierciadłem)* No! no!... jeszcze człowiek nie najgorzej wygląda... nie najgorzej! włos jeszcze bujny... *(przygląda się)* Siwizny jeszcze nie znać, tych kilka tylko włosów na boku. Ale to nic! znam ludzi, co posiwieli już w dwudziestym roku, nawet znam bardzo dużo takich ludzi. *(po chwili)* Ta pomada do farbowania wąsów, com o niej wyczytał w inseratach, to naprawdę cudowna! cudowna, wąsy ciemne jak za dawnych lat... a miałem wąsy! Przeklęte zmarszczki... na nie rady nie ma i to pod oczami, co dnia głębsze. Ale się jeszcze człowiek podobać może!... i... czemuż nie?... Możeby już czas pomyśleć na seryo!...

Scena IV.

ZYGMUNT, ANTONI.

ANTONI *(wchodząc).*

Pan dzwonił?...

ZYGMUNT.

Nie! albo co?...

ANTONI.

Zdawało mi się...

ZYGMUNT.

A gdzie bulion?

ANTONI.

Kucharz dopiero gotuje...

ZYGMUNT.

A! z wami to nikt nie wytrzyma, czy mu nie mówiłem tyle razy, żeby bulion był o jedynastej!...

ANTONI.

Prawda! ale szafarka pogniewała się z kucharzem i nie chciała bulionu wydać...

ZYGMUNT.

Znów kłótnie!... to uciec przyjdzie z domu!

ANTONI.

Et! Tego wszystkiego by nie było... żeby to... żeby tak...

ZYGMUNT.

Co takiego?

ANTONI.

Żeby to!... żeby to pani była w domu...

ZYGMUNT.

Głupi jesteś; idź pilnuj kucharza.

(Antoni wychodzi.)

Scena V.

ZYGMUNT *(sam).*

(Po chwili namysłu) Żeby pani była w domu!... *(siada)* Jest w tem wiele prawdy. *(chwyta się za kolano)* Fe!... boli... to znów tu w łopatce... to ta jesień, ta przeklęta jesień!... *(po chwili)* Jużby może i czas było pomyśleć na seryo?... kto wie?... *(podkręca wąsa)* Gdyby to i ładna i młoda i miła i wykształcona i dobra i wesoła!... Kto wie?!... *(wyjmuje list)* Gdyby?... Ten list od Maryi, taki serdeczny, a taki tajemniczy... pisze iż Sabina... ale to dziecko jeszcze!... Dziecko... zaraz... ile może mieć lat?... zaraz... zaraz... miałem wtedy romans z Malwiną, w roku!... ba, Sabina ma już siedemnaście lat!... to nie dziecko. *(zaczyna chodzić)* Trzeba do Gorowic pojechać... Sabina tam będzie... No! może się to da zrobić!... *(chwyta się za ramię)* Aj! boli...

Scena IV.

ZYGMUNT, ANTONI.

ANTONI *(z tacą.)*

Jest bulion...

ZYGMUNT *(pijąc).*

Jaki niesmaczny!

ANTONI.

To kucharz temu winien, bo mi się zdaje proszę pana, że on trochę... czmychnięty!

ZYGMUNT.

Jakto? już tak rano?

ANTONI.

Bo to było wczoraj wesele u pisarza gminnego. Szczęśliwy człowiek, ożenił się. *(wzdycha)* Ożenił się... proszę pana.

ZYGMUNT.

Dobrze zrobił. Ale słuchaj, mówiłem ci tyle razy, żebyś tę szkatułkę stawiał przed zwierciadłem.

ANTONI.

To wszystko jedno, proszę pana.

ZYGMUNT.

Głupi jesteś! A, patrzaj i ten wazon! ten wazon powinien zawsze stać w środku między temi książkami, w samym środku.

ANTONI.

I to wszystko jedno.

ZYGMUNT.

Mówię ci żeś głupi! a co kurzów!

ANTONI.

Pościeram zaraz!

ZYGMUNT.

Trzeba wszędzie samemu zajrzeć, bo żaden z was obowiązku nie pilnuje!

ANTONI.

(ściera nieuważnie kurz i przewraca kandelabr)

Ot!...

ZYGMUNT.

Coś tam wywrócił?...

ANTONI.

Kandelabr tylko! *(wzdycha i ściera kurze z obrazów)* Nie chce! nie chce mnie...

ZYGMUNT.

(*Siada i przegląda album n. s.*) Tak!... tak! trzeba raz pomyśleć na seryo, a to tajemnicze zaproszenie Maryi...

ANTONI (*zrzuca obraz*)

Jest!...

ZYGMUNT (*zrywa się*).

A! bodaj cię... o czem ty myślisz niezgrabny?!...

ANTONI.

Et! proszę pana, już się człowiekowi życie przykrzy...

ZYGMUNT.

Mazgaju! gdybyś nie służył u mnie tyle lat, tobym cię już oddawna odprawił.

ANTONI.

Bo też potrzeba to panu wieszać wszędzie takie brzydkie rzeczy... człowiek to nawet nie wie, gdzie patrzeć... albo te w rogach... (*nie patrzy i tłucze wazon*) Ot jest!...

ZYGMUNT.

Co jest?

ANTONI.

Już nie jest, bo się stłukł!

ZYGMUNT.

Nie! ja cię będę musiał odprawić, bo nie wiem co ci się stało od jakiegoś czasu...

ANTONI.

No to ja panu... muszę już wszystko powiedzieć. Ja się chcę ożenić....

ZYGMUNT (*śmieje się*).

Ty?! ha! ha!... to wyborne! w twoich latach...

ANTONI.

A dla czego nie?

ZYGMUNT.

Ty? ha! ha! ale przypatrz się, ty już dziad stary.

ANTONI.

E! proszę pana...

ZYGMUNT.

Trzeba ci było wcześniej o tem pomyśleć...

ANTONI.

Prawda, ale jakoś u pana w służbie...

ZYGMUNT (*przerywając*).

A z kimże się chcesz żenić?

ANTONI.

Z Anusią, córką ogrodnika.

ZYGMUNT.

No i cóż? nie chce cię?

ANTONI.

Tak się zdaje.

ZYGMUNT.

Jak to zdaje się? (*słychać za sceną kilka tonów fletu*).

ANTONI.

Ile razy przyjdę do niej to zawsze jest tam furman Walenty i ona z nim gada a do mnie ani słowa... Boby to pan tego trutnia odprawił...

ZYGMUNT (*do siebie*).

Już Gwalbert próbuje fletu. (*głośno*) Porządny, koni pilnuje.

ANTONI.

Gdzie tam pilnuje, zawsze u ogrodnika....

ZYGMUNT.

Dobrze żeś mi przypomniał, idź powiedz Walentemu, żeby konie miał ubrane, po południu pojadę do Gorowic.

ANTONI.

Ale pan nigdzie nie pojedzie, taka zła droga. Te fury co pojechały po drzewo, to się musiały wrócić, zaraz za młynem na grobli złamały dyszel, takie wyboje i takie błoto.

ZYGMUNT.

Nic nie znaczy, pojadę Amerykanką... no idź...

ANTONI (*odchodzi i wraca*).

A cóż proszę pana, to moje małżeństwo?

ZYGMUNT.

Jak cię tylko Anusia będzie chciała, to ci dopomogę...

ANTONI.

Gdyby nie Walenty...

Scena VII.

ZYGMUNT, ANTONI, GWALBERT (*z fletem w rękach.*)

GWALBERT.

(*oryginalnie ubrany, wchodząc przedmuchuje flet*)

Przyszedłem na partyę pikiety...

ZYGMUNT.

Dzień dobry. A wiesz, Antoni chce się żenić...

GWALBERT.

(*idzie ku Antoniemu i patrzy długo*)

T ?... dobrze masz! żeń się...

ANTONI.

A widzi pan!

ZYGMUNT.

No idź już! a przygotuj bieliznę na drogę... (*Antoni wychodzi.*)

Scena VIII.

GWALBERT, ZYGMUNT.

GWALBERT.

Wyjeżdżasz? (*idzie do stolika z kartami*).

ZYGMUNT.

Tak!

GWALBERT.

A dokąd?

ZYGMUNT.

Mam interesa...

GWALBERT.

W którę stronę?...

ZYGMUNT (*na stronie*).

Czego się on tak dopytuje! (*głośno*) Ku Tarnowowi...

GWALBERT.

To będziesz i w Gorowicach?...

ZYGMUNT.

O! pewnie!...

GWALBERT (*na stronie*).

Hm! (*głośno*) Już karty ułożone, siadaj!...

ZYGMUNT (*jeszcze na przodzie sceny*)

Miałeś dziś listy?

GWALBERT.

Tak!...

ZYGMUNT.

A od kogo?...

GWALBERT.

Z różnych stron.

ZYGMUNT.

I wieści dobre?...

GWALBERT.

Gdzie dziś mogą być jakie dobre wiadomości... do koła wszędzie śmierć i smutek... i klęski... Rolnicki umarł...

ZYGMUNT.

Ba! miał 89 lat...

GWALBERT.

Cóż z tego? ludzie mogą żyć do 120. Umarła Przepiórkowska...

ZYGMUNT.

Ba! miała wodną puchlinę...

GWALBERT.

Mogła jej nie mieć a byłaby żyła... Kwieczyńskiemu spaliły się stodoły...

ZYGMUNT.

Puste...

GWALBERT.

Mogły być pełne!... Maurycemu ogier złamał nogę...

ZYGMUNT.

Dychawiczny...

GWALBERT.

Ty na wszystko masz odpowiedź...

ZYGMUNT.

Ty wszystko widzisz w czarnych kolorach (*przychodzi do stolika i siada).*

GWALBERT.

Ale bo też i takie czasy teraz nastały, wszystko się rozprzega... wszystko demoralizuje! To nie tak jak dawniej... *(po chwili)* A i ty fatalnie wyglądasz!...

ZYGMUNT.

(który już karty tasował, wstaje zmięszany)

Co mówisz?!

GWALBERT.

Cera żółta! nalana, oczy zapadłe, zmarszczki! siwiejesz...

ZYGMUNT.

Zlituj się! doktor powiada...

GWALBERT.

Co doktorzy wiedzą...

ZYGMUNT.

Ale jakże? doktor powiada...

GWALBERT.

Jeden Moryson na świecie, jeden tylko Moryson.. no siadaj... i zbieraj...

ZYGMUNT.

Czekaj chwilę. Ja naprawdę od jakiegoś czasu czuję się niedobrze.

GWALBERT.

To widać odrazu... No zbieraj, młodsza daje...

ZYGMUNT.

Będąc więc ostatni raz w Krakowie radziłem się kilku doktorów. Jeden powiada, że to choroba nerwowa i dał mi lekarstwo; drugi powiada, że to katar żołądka i dał mi inne lekarstwo... trzeci że to...

GWALBERT.

Powiadam ci, oni nic nie wiedzą, jeden tylko Moryson... no dawaj...

ZYGMUNT.

Aj!...

GWALBERT.

Co ci takiego?

ZYGMUNT.

Ból w kolanie...

GWALBERT.

Podagra?...

ZYGMUNT.

Ale gdzie tam...

GWALBERT.

Reumatyzm, artrycyzm... *(grają).*

ZYGMUNT.

Co ty wygadujesz...

GWALBERT.

A to pewnie początki paralizu...

ZYGMUNT.

Co ci się śniło!

GWALBERT.

Teraz wszystko możebne na świecie... bo tak źle się dzieje. No chwal się...

ZYGMUNT.

Ale gdzież tam znów paraliż!... najprędzej zawianie małe, bo to jesień... No, sześć kart, piętnasty sekwens. (*gra*) Dwadzieścia dwa...

GWALBERT. *(grając)*

Jesień! jesień... jeden, dwa... to nie jesień, to starość panie Zygmuncie.

ZYGMUNT.

Jestem młodszy od ciebie!

GWALBERT.

O zapozwoleniem! tyś starszy. Pisz 31 — leza u ciebie...

ZYGMUNT.

Tyś starszy...

GWALBERT.

Zaraz, tyś się rodził w roku tysiąc ośmset...

ZYGMUNT.

Nieznośny jesteś... sprzeczałbyś się tylko, widać żeś stary kawaler...

GWALBERT.

O! stary kawaler, jak stary kawaler, a jeżeli zaciągnąłem się trochę w lata, to wiesz przecież, iż nie z dobrej woli, lecz z nieszczęśliwego przeznaczenia, nie tak jak ty...

ZYGMUNT.

Ba! ja wcale nie stary.

GWALBERT *(przerywając)*

Ty coś został starym kawalerem dla zbytku szczęścia...

ZYGMUNT.

No! no! grajmy...

GWALBERT.

Ja się chciałem żenić i nieraz... Pierwszy raz miałem lat ośmnaście, zakochałem się w córce profesora, u którego mieszkałem w Krakowie. Kochaliśmy się jak Romeo i Julia, oświadczyłem się jej... i układaliśmy sobie przyszłość taką różową! Mieliśmy mieszkać w małej chatce nad strumykiem, niedaleko olszyn, w których powinny były śpiewać słowiki, mieliśmy żyć mlekiem i poziomkami... o bo ja wtedy bardzo lubiłem poziomki.

ZYGMUNT.

No graj!... A pamiętaj, doktor powiada, że poziomki są bardzo niezdrowe...

GWALBERT *(w pół marząc).*

Lecz cóż? mój ojciec się o tem dowiedział... przyjechał... wyłajał... i zabrał ze sobą...

ZYGMUNT.

Miałeś jeszcze dość czasu.

GWALBERT.

Tak mówił i mój ojciec. *(marząc)* Drugi raz zakochałem się w córce sąsiada... Ojciec mój na związek zezwalał... wszystko szło jak najlepiej!... lecz!... nie podobałem się pannie: przeniosła nademnie kapitana od dragonów i dostałem odkosza...

ZYGMUNT.

Pierwszego... to nic... no, zbieraj...

GWALBERT *(coraz więcej zajęty marzeniem).*

Później pojechałem do Lwowa... tam poznałem śliczną brunetkę, już drugiego dnia kochałem się w niej

szalenie, lecz zdawało mi się, że jest trochę kokietką, ułożyłem więc sobie zbadać jej charakter... badałem miesiąc i nic nie zbadałem... o! bo te kobiety... Zakochany coraz więcej, wybrałem się jednego wieczora oświadczyć stanowczo i...

ZYGMUNT.

I cóż?

GWALBERT.

I spóźniłem się—panna była od godziny po deklaracyi i zaręczynach.

ZYGMUNT.

Fatalizm kochany Gwalbercie, poco się było namyślać?

GWALBERT.

To też na drugi rok w Szczawnicy poznałem jeszcze piękniejszą blondynkę i drugiego dnia już się oświadczyłem.

ZYGMUNT.

Tym razem cóż przeszkodziło?

GWALBERT.

Lepiej nie mówmy o tem... Poznałem wtedy o ile kobieta może być podstępną i fałszywą...

ZYGMUNT.

Jakaś skandaliczna historya!... no, to lepiej żeś się o niej dowiedział przed ślubem...

GWALBERT.

Po kilku latach widząc, że mi się z pannami niewiedzie, a marząc ciągle o małżeństwie, pokusiłem się o rękę wdowy! A była piękna, ponętna i wielce łaskawa dla mnie... i miała jedną tylko piękną córeczkę przy sobie... Po oświadczynach, w wigilią zaręczyn moja wdowa oświadczyła mi jednak, iż ma...

ZYGMUNT.

Co takiego?

GWALBERT.

Jeszcze pięcioro dzieci!...

ZYGMUNT.

Ha! ha! znalazłeś że pół tuzina za wiele! *(słychać hałas za sceną.)*

GWALBERT.

Następnie znów...

ZYGMUNT *(wstając).*

Znów kłótnie! a. Boże z tymi ludźmi! *(idzie do drzwi)* Cóż tam takiego?

ANTONI *(za sceną).*

A proszę pana, klucznica powiada, że nie ma czystej bielizny.

ZYGMUNT.

A to utrapienie! *(do Gwalberta)* Wrócę zaraz, muszę tylko wylajać klucznicę *(wychodzi).*

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Paryż, 30. Kwietnia.

Niepodobna, aby *Świt* nie zdal sprawy z tak ważnego wypadku artystycznego, jak wystawa dzieł Henryka Regnault, zabitego pod Buzenval, ktorego śmierć wywołała w Paryżu żałobę publiczną. A ponieważ niezależne od woli mojej okoliczności nie pozwoliły mi uiścić się z tego obowiązku w właściwym czasie, bo wystawa ta już skończona od Wielkiejnocy, korzystam ze sposobności, jaką nastręcza mi ogłoszenie znakomitego odczytu p. Ath. Coquerel „o Henryku Regnault i jego dziełach.“ Przez dwa tygodnie ciągle napełnioną była tłumem widzów sala w Szkole Sztuk pięknych, w której znajdowały się wszystkie obrazy, akwarelle, rysunki nawet z lat jego dziecięcych, oprócz jednego obrazu Judyty, który jest własnością miasta Marsylii. Nie ma też w Paryżu ani jednego miłośnika sztuk pięknych, więcej powiem, nie ma jednego patryoty, któryby do tej sali nie odbył pielgrzymki. Henryk Regnault miał dopiero lat 27, a już nabył sławy jednego z największych kolorystów naszego czasu. Znane są z poprzednich wystaw paryzkich jego Marszałek Prim, a szczególniej ta Salomea, która z Unią Lubelską zwracała na siebie w Salonie r. 1870 uwagę wszystkich znawców. Była to podług wyrażenia p. Teofila Gautier „une Symphonie en jaune majeur admirablement réussie.“ Teraz podziwialiśmy dwie inne takie symfonie. Pierwsza p. t. Wyjście Baszy niedokończona jest wielką symfonią *en blanc*. Z lewej strony bowiem widać mur biały, wschodnie światło odbijający, nad którym bielsza jeszcze przestrzeń od słońca prostopadle oświecona: z tyłu na tej samej przestrzeni cień jakoby fiołkowy. Z prawej strony dwa inne mury, z których pierwszy biały jak kreda odbija od drugiego prawie różowego. Na tle obrazu także kolor biały zaledwie przyćmiony przez odległość: a odbijający się na tem tle białem, koń także biały. Wykonanie tego obrazu jest mistrzowskiem, a nikt lepiej, jak Regnault, nie potrafił dać wyobrażenia o tem wschodniem świetle, które nieobeznanych z tem zjawiskiem natury, mogłoby razić lub zadziwić.

Drugą taką symfonią, ale *en rouge*, jest obraz zatytułowany przez autora Ścięcie bez sądu, a który możnaby nazwać plamą krwi. Szło tu malarzowi o to, aby pokazać, że krew jeszcze ciepła, karmazynowa, wytryskująca i spadająca na schodach białego marmuru, sprawia kontrast kolorów zadziwiający. Obraz ten zostawia jednak niemiłe wrażenie; tak sam tytuł jak wykonanie jego razi nielitośną srogością. Mówią niektórzy, że przeczucie jakieś o własnym losie podyktowało ten tytuł młodemu malarzowi, który także miał być straconym bez wyroku. Ale takiego przeczucia nie mogło być w jego duszy napełnionej marzeniami o szczęśliwej przyszłości (miał żenić się przed wojną).

Inne obrazy, bądźto Konie Achillesa przez Automedona mimo oporu wstrzymywane a buntujące się, bo znają przyszłość i wiedzą, że Achilles będzie na śmierć skazanym; bądź Achilles, któremu matka zbroję przynosi; albo też Wyjazd z Fantazyi, lubo są mniejszych rozmiarów, jednak odznaczają się temiż samemi zaletami. Można tylko malarzowi zarzucić młodzieńczą, prawie dziecinną skłonność do rzeczy będących zgrozą w sercach widzów; ale zaczynał się poprawiać z tej wady, a plany jego na przyszłość, o jakich mówi obszernie p. Coquerel w wyżej wspomnionym odczycie, zapowiadały w nim wielkiego a myślącego artystę. Dotąd był to tylko geniusz kształcący się i doskonalący. Wyjątki z jego listów zawierają ustępy najlepiej wykazujące, jakiego to hartu była dusza: „Powodzenie nie wystarcza.“ pisał on po odebraniu medalu; „chciałbym rozpłynąć się w czystości,“ mówił gdzieindziej wspominając o życzeniach swoich i marzeniach. A do przyjaciela z którym zamierzał odbyć podróż do Indyi wołał: „Jedźmy za młodu, abyśmy mogli być wzruszeni, abyśmy mogli pić słońce... i wracajmy młodzi, aby tworzyć całą siłą.“ Próby jego dziecinne, rysunki bitew tak pełne ruchu i życia, a które

są dziełem artysty jedenastoletniego; portrety znakomite, drzeworyty ogłoszone w illustrowanych dziennikach, jego widoki Alhambry, Grenady i Alkazaru Sewilskiego, nareszcie akwarelle z czasów oblężenia, które są arcydziełem w swym rodzaju, wszystko to usprawiedliwia pochwały krytyków i żal powszechny po tragicznej śmierci młodego malarza. Następujące pismo znalezione na jego trupie, a będące jakoby testamentem jego moralnym, dowodzi, że artysta był także patryotą:

„Straciliśmy wielu ludzi; trzeba ich stworzyć na nowo, a lepszymi, silniejszymi. Nauka powinna być skuteczną. Nie dajmy się już zmiękczyć nazbyt łatwym rozkoszom. Życie dla siebie samego nie jest już dozwolonem. Było niedawno w modzie w nic nie wierzyć jak w rozkosz i wszystkie złe namiętności. Egoizm powinien zniknąć i unieść ze sobą fatalną przechwałkę tych, którzy gardzą wszystkiem, co poczciwe i dobre. Dzisiaj Rzeczpospolita nakazuje nam wszystkim życie czyste, zaszczytne, poważne. Powinniśmy wszyscy złożyć ojczyźnie, a po nad ojczyzną, ludzkości wolnej hołd ciała i duszy. To co oboje razem zdziałać mogą, jest naszą dla niej ofiarą. Całe siły nasze powinny przyczyniać się do szczęścia wielkiej rodziny, sami więc natchnijmy się i natchnijmy drugich uczuciem honoru i miłością pracy."

Pan Ath. Coquerel kończy odczyt swój zachęcając młodszych artystów do zastąpienia zmarłego, nie zaś do naśladowania ślepego jego zalet i wad niektórych. „Chciałbym, powiada mowca, aby Francya stała się daleko większą niż była dawniej, abyśmy nadali gieniuszowi francuzkiemu, tak ożywionemu, tak rzutkiemu i tak płodnemu, stałość, powagę, loikę, mądrość, moralność, na których mu zbyt często zbywało; a wtenczas zwróciłbym bez obawy do naszych zwycięzców, którzy się tak mało wspaniałymi w zwycięztwie okazali, słowo Henryka Regnault, które jest dla nich potępiającym wyrokiem: „Powodzenie nie wystarcza."

Cóż dodać po tych wymownych słowach? Nic oprócz uwagi, że myśląc o Henryku Regnault przypomniałem sobie A. Grotgera, i że czytając mowę p. Coquerel, pomyślałem sobie, że ostatnie jego słowa mogą służyć za naukę tak naszym polskim jak i francuzkim artystom.

O nowych książkach, o sztukach nowych, a mianowicie o „Historyi XIXgo wieku" p. Michelet, o „Strasznym Roku" p. Wikora Hugo, który wczoraj wyszedł z druku, o „Nany" p. Meilhac i o „Pani de Sommerive" p. Th. Barrière, miałbym wiele do powiedzenia; dzisiaj dlatego przestaję na pobieżnej wzmiance, że w przyszłym tygodniu myślę zdać z nich obszerniej sprawę i ocenić te wcale pocieszające objawy większej działalności umysłowej i coraz szlachetniejszych i patryotyczniejszych dążności tutejszych pisarzy.

W. G.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*„Zagroda Sobkowa." — „Miłość i dyplomacya."*)

Liczymy to w poczet zasług obecnej Dyrekcyi, że widowisk świątecznych nie zapełnia potwornymi dramatami spółek francuskich ani farsami Nestroya, ale podaje gminowi potrawę zdrową i pożywną. Znany poeta niemiecki S. H. Mosenthal szczególnie celuje w charakterystyce warstw ludowych i dlatego dramaty jego jak „Deborah," „Sonnweudhof" i inne zaczerpnięte z motywów życia tych warstw, śmiałą ręką nakreślone ich postacie, z niezwykłem znawstwem scenicznych efektów wywołane ich sytuacye zawsze wyborne czynią wrażenie, a to nietylko na warstwy gminne ale i na umysły wykwintniejsze. Jeden z tych ludowych dramatów Mozenthala przedstawiono w Niedzielę (d. 28 z. m.) „Zagroda Sobkowa" daje nam grupę postaci zdrowych, pełnych natury i jędrnej siły życia opartych na gruncie zwykłych pojęć i uczuć, ale w tej powszedniości ziemskiej nader poetycznie ujętych i wyraziście przedstawionych. Tak się jedynie powinny pisać dramaty ludowe..

Przedstawienie „Zagrody Sobkowej" należało do najudatniejszych za obecnej ery. Pani Aszpergerowa (Marta) oddała w kształtach tak naturalnych a tak szlachetnych kobietę z gminu, dojrzałą wiekiem a przecież ulegającą jeszcze sercu, wycieniowała tak ślicznie, z klasyczną prostotą i głębokością duszy owo rzewne, prawdziwie ludowym kolorytem napuszczone, nieśmiało wynurzające się na świat uczucie Marty, że gra jej zdrowa i serdeczna do łez poruszała. Był w niej realizm, graniczący z rzeczywistością a jednak piękniejszy, bogatszy wdziękiem duszy, jak rzeczywistość.

Do tego samego rezultatu artystycznego, do którego doszła pani A. wieloletniem doświadczeniem zawodu i gruntownem badaniem życia, dąży pospiesznie wiedziona rzadką bystrością pięknej intuicyi i poetycznym nastrojem własnego umysłu, młoda artystka, o której tyle już pisaliśmy, panna Deryng. Z Heleny stworzyła nam znowu jedną ze swoich uroczych, olśniewających prostotą, upajających poezyą ról, w których każdy ton głosu jest najgłębszym wyrazem serca, każdy ruch i każde spojrzenie zlewają się w łagodną i harmonijną całość, w których nie ma żadnego wybryku obliczonego na zewnętrzny efekt i chwilowy poklask, ale w których drga i wciela się zupełnie — dusza. Jak raz Ujejski prześlicznego użył obrazu, pisząc, że gdzieś tam w majowej nocy „księżyc srebrem aż szeleści," tak w grze tej artystki czuć wszędzie — szelest ducha. Jej Helena była tak delikatnemi nałożona barwami, cierpienie sieroty tak pełne uroczystego spokoju i skupienia w sobie, a lada wyraz na pozór małego znaczenia, jak ów boleśny wykrzyk: „Tak! tak!" albo „Czemuż? czemuż?" tak na wskróś przejmujący, że trudno nie uledz silnemu wzruszeniu. Ten co to pisze, czuje w tem wielką przyjemność, że pierwszy zwrócił uwagę na talent panny D.; dziś rola jego jest już łatwą i prawie skończoną, bo dziś już każdy, mający umysł czuły dla piękna, dziś już cała publiczność, cała krytyka lwowska, poznańska i krakowska przyznała to, co się należy takiej artystce. Tem milej mi było czytać wczoraj w urzędowym organie krakowskiego teatru charakterystykę talentu panny D. tak dla niej pochlebną, a tak zupełnie zgodną z tem, co zawsze o tej artystce pisałem.

Pan Nowakowski (Kuba) z wyborną prawdą, silnym a jednak nie przekraczającym miary realizmem oddał cyniczną rolę włóczęgi; podnosimy scenę z proboszczem w której obudzenie się sumienia i przerażenie duszy odmalował jasno i dramatycznie. Pan Hubert (Ojciec Kanty) pojął tę rolę za szorstko, nie umiejąc mimowoli tyle w nią przelać słodyczy chrześcyańskiego kapłana, ile potrzeba, ażeby słowa jego ujmujące tkliwym spokojem i łagodnością mogły sprawić zupełny przewrót w zwierzęcym umyśle rozpustnika. Pan Baranowski (Walenty) nie wystudyował gry fizyognomi w akcie II, kiedy Marta

oświadcza mu swą miłość, ale scenę liryczną aktu III, w której zawodzi po zniknięciu Heleny, oddał z szczerze bolesnym i przejmującym wyrazem.

We Środę (d. 1 b. m.) przedstawiono znaną komedyę 2-aktową Okt. Feuilleta: *„Peril en la démeure“* p. t. „Miłość i dyplomacya.“ Utwór ten miał wielkie powodzenie we Francyi, bo we formie delikatnej i pełnej estetycznego smaku wskazuje na jedną z jej ran społecznych. Zajmuje się tu subtelny Feuillet tą samą kwestyą upadku kobiety, która jest wyłącznym a tak drażliwym motywem Dumasa syna, ale o ileż poetyczniej i szlachetniej przygląda się jej i rozwiązuje. Życie rodzinne, domowe nie istnieje we Francyi. Albo żona nie bywa nigdy w domu, jak u p. Sardou w „Rodzinie Benoiton,“ albo nie ma w nim męża, jak u p. Feuillet w *„Péril en la demeure.“* Poeta dojrzał w tem lekkomyślnem rozprzężeniu najsilniejszego węzła przyczynę wszystkich nieszczęść i goryczy domowych, które nurtując rodzinę we Francyi, prowadzą żonę do upadku a męża do metresy. Bohaterka jego komedyi, Karolina de la Roseraie, nie upadła — i owszem, jest kobietą najzaciejszą, ale skazana na żywot samotny, posępny, bo mąż dyplomata nie może dla niej poświęcić chwili czasu, upaść może, nawet prawem natury — musi. Jest nietylko namiętność zmysłów, libertynizm objawiający się używaniem nad miarę wina i kobiet, p. Feuillet powiada (i całkiem słusznie!), że tak samo dla idei rodziny zabójczą jest namiętność mężczyzny do zajęć swego praktycznego zawodu — libertynizm umysłowy. Jeżeli dyplomata żyje wyłącznie kancelaryą swego departamentu, król giełdy wyłącznie salą gry, dziennikarz wyłącznie biórem redakcyi, to cóż ma począć żona, potrzebująca nietylko myśleć, ale i czuć, żyjąca więcej sercem i wyobraźnią, aniżeli praktyczną myślą? Tym torem rozprzęga się rodzina we Francyi, a umysł kobiety, karmiony czczością i goryczą, zrywa wędzidła moralności, o której pięknie ci prawią, którym ona jest wygodną i — przyjmuje u siebie kochanka. Odmalowanie tej gangreny społecznej jest wzniosłą dążnością tej komedyi, a myśl jej przewija się szeregiem najmilszych, najswobodniejszych scen, w dyalogu tak pełnym treści i duszy, elegancyi i dowcipu, w powikłaniu tak zręcznem i wytwornie komicznem a tak delikatnie prześlizgującem się po drażliwościach sytuacyi, że wrażenie sztuki zostaje wybornem i pouczającem.

Pani Aszpergerowa (Baronowa de Vitré) nie zapomniała o żadnym, choćby najpobieżniejszym rysie, jakimi ubrał tę postać jej twórca. Słodycz i czułość macierzyńska, łagodność serca, prawie do pieszczotliwości dochodząca w obec syna, sarkazm pełen gracyi w obec hrabiego de Favières, wyniosła swoboda znakomitej damy, łatwość w przejściach z jednego stanu w drugi, od wykwintnej ironii do najgłębszego uczucia, stanowiły sympatyczną mozajkę rysów charakterystycznych, zarówno pięknie złożonych w całość przez poetę, jak odegranych przez artystkę. Panna Rudkiewiczówna (Karolina) mając rolę nie przekraczającą miary jej talentu, oddała ją z wdziękiem, prawdą i uczuciem. Pan Dobrzański (de la Roseraie) nie był tym suchym, zbutwiałym a zawsze pełnym dystynkcyi wysokiej dyplomatą, którego boleść, gdy się dowiaduje o zdradzie żony, jest niezmierzoną, wstrząsającą całym bytem jego moralnym a jednak zdolną się zatrzymać w granicach tonu i szlachetności — przebaczającą. Pan D. w rolach mniej trudnych i płyciej pomyślanych bywa zupełnie na swojem miejscu; rola jednak komiczna, która przechodzi ze sfery wyższego komizmu następnie w uczuciową i rzewną, nie mogła być w całości oddaną dobrze przez p. D., któremu i tenby należało uczynić zarzut, że scenom, w których de la Roseraie kłopota się nawałem pracy dyplomatycznej, ale sam żadnej nie widzi w swym pedantyzmie śmieszności, p. D. nadawał taki wyraz, jakby dyplomata ironizował własną swoją wadę. Jest to, jak sądzę, rola p. Nowakowskiego. Pan Podwyszyński (hrabia de Favières) łamał się z trudnościami swego młodego wieku, mając przedstawić starca, po części jeszcze rozpustnika, a po części już obojętnego i życiem przesyconego, jakkolwiek zawsze jeszcze na galanteryę w obec dam się wymuszającego. Trudna to rola, ale przyznać należy, że p. P. mimo niestosowności wieku zrozumiał wybornie jej typowe rysy i dał nam postać pełną życia i charakterystycznej odrębności. Pan Kwieciński (Albert) nadaje wietrznikom i lwom salonowym, jakich przedstawia, wyraz naiwnych i rozpieszczonych młokosów, nie mających prawie samowiedzy tego, co czynią, chociaż, ażeby panować w buduarach, musi się mieć pewność siebie, zrozumienie swej pozycyi, siłę w sobie. W ten sposób „kochankowie“ p. K. są wyrostkami, których uczucie jest śmiesznością, tak że go na seryo brać nie można. Tymczasem taki Albert de Vitré, jakkolwiek mówi „mateczko!“ i obłudnie ją pieści, nie jest dzieckiem, ale „kochankiem“ w całej pełni tego pojęcia i to kochankiem dramatycznie występnym. Parę chwil głębszego uczucia oddał p. K. nader wdzięcznie i w ogóle jest on artystą wielce uzdolnionym i sympatycznym, ale we właściwych rolach.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

CZASOPISMA. Wyszedł drugi tom pisma: *„Na dziś“* i zawiera: Dalszy ciąg pamiętników dr. Józefa Franka, prof. Uniw. Wileń.; powieść Józefa Tretiaka: „Daniel;“ dalszy ciąg romansu Spielhagena: „Naprzód;“ studyum socyologiczne B. Limanowskiego: „Plato i jego Rzeczpospolita;“ „Kobiety historyczne“ dr. Ksawerego Liskego (Marya i Elżbieta); „O kodyfikacyi praw w dawnej Polsce i jej znaczeniu europejskiem“ W. A. Maciejowskiego;“ „Rzecz o obchodach weselnych ludu w Polsce i na Rusi“ Oskara Kolberga, „Drogi handlu zbożowego“ J. N. Sadowskiego; poezye Karola Brzozowskiego i innych. Wreszcie nader staranie opracowana kronikę literacką i artystyczną.

HISTORYA. *Ralf Waldo Emerson. Przedstawiciele ludzkości, tłumaczył Józef Sielawa.* Warszawa, nakładem autora 1872. Pełne uderzającej oryginalności charakterystyki Napoleona I, Goetego, Monteskiusza, Swedenborga i innych.

— *Henri Martin. Etudes d' archeologie celtique, notes de voyages dans les pays celtiques et scandinaves.* Paris Didier. 1872.

TEATR. *Przedstawienie amatorskie* (d. 29 z. m.) na fundusz szkół ludowych wypadło ku ogólnemu zadowoleniu. Wykonanie klasycznego utworu Cherubiniego „Anakreon“ i odśpiewanie prześlicznych kwartetów F. Mendelssohna zachwyciły publiczność. W części dramatycznej podziwiano miłą, pełną swobody i wdzięku grę panny P., której tylko za szybką zarzucićby należało wymowę. W dramaciku „Szpada mojego ojca“ uderzyła wszystkich sympatyczna i szczerem uczuciem przepojona gra panny Lin., jakoteż wystąpienie pełne dystynkcyi i powagi panny Lew. Z męzkich ról zasłużyli się najbardziej p. Bel. i pp. E. B. i P.

Od redakcyi. Z powodu opóźnienia się przesyłki rękopisu z Paryża przerwany druk rozprawy p. Gasztowta rozpocznie się w najbliższym numerze.

Składka na fundusz szkół ludowych.

Wiktorya Krzysztofowicz 3 złr. — Z kwotą poprzednią: 32 złr.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ułanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.

(Nr. dzisiejszy rozsyłamy na okaz.)